

Fragment relacji świadka historii



JANUSZ BARSKI

ur. 1936, Sokolniki



Zakres terytorialny i czasowy	Gdańsk, 1946-1953
--------------------------------------	-------------------

Warunki życia po osiedleniu się w Gdańsku

Dojechaliśmy do Gdańska Głównego. Ludzi jadących w naszym wagonie odtransportowano do poniemieckich drewnianych baraków obok Filharmonii Bałtyckiej. Tam trzymano robotników tramwajowych. Wcześniej na tym terenie znajdowało się boisko Politechniki Gdańskiej. Zamieszkaliśmy w jednym z baraków. Tato poszedł do PUR-u, przedstawił dokument poświadczający pozostawione na Wschodzie mienie, a tam powiedziano: *Proszę szukać. Co pan znajdzie, to będzie pana*. I ojciec szukał po całym Gdańsku. Mówił, że widział ładne mieszkania i domy, ale bez drzwi, bez podłóg, bo pierwsi ludzie, którzy dojechali do Gdańska, w tym cała Wileńszczyzna, nie mieli czym palić w piecach. A więc rozbierali okna, drzwi, podłogi, parkiety. To wszystko szło przez komin, bo ludzie musieli czymś ogrzewać swoje mieszkania. Myśmy w 1946 roku zastali zdewastowany Gdańsk. Jeszcze w niektórych miejscach mieszkali Niemcy. Tato mówił, że w te miejsca Polacy chodzili z polską milicją. Tato znalazł mieszkanie w przedwojennej robotniczej dzielnicy Orunia, gdzie był historyczny park i piękny pałac. Później tu mieściło się przedszkole, do którego odprowadzałem moją siostrę. Przy tym parku było centrum tej dzielnicy. Był kościół, moja szkoła podstawowa „dziewiątka”, Milicja Obywatelska, cmentarz, poczta. Tu kończyła się linia tramwajowa „szóstki”, która biegła z centrum Gdańska. Główna ulica, wychodząca z Gdańska w kierunku na Tczew, Bydgoszcz, to była ulica Oruńska, od nazwy dzielnicy. Zamieszkaliśmy w dwuklatkowej kamienicy z czerwonej cegły, liczącej dwa piętra i parter. Myśmy zamieszkali na drugim piętrze. Mam zdjęcie tej kamienicy. Tato odkupił mieszkanie od poznaniaka. Wtedy na te ziemie przyjeżdżali z Warszawy, z Poznania, z centralnej Polski ludzie, którzy szukali czegoś poniemieckiego. Na dole mieszkali Bieleccy i Grzecowie – gdańszczanie, Polacy, którzy tam mieszkali za Niemców. Na pierwszym piętrze Ziębowie i Sikorowie. Na górze Dąbrowscy i my, Baranowie. W drugiej klatce żyli Tereszczukowie, Zawalscy, Niewiarowscy na dole. Pamiętam, bo w młodym wieku dużo się zapamiętało. Jak oglądam swoje zdjęcia ze szkoły podstawowej z Gdańska, to pamiętam wszystkie nazwiska uczniów i nauczycieli. Ogrzewanie było piecowe oczywiście, a więc sprawa z węglem i ogólnie z opałem była niesamowicie trudna. Wtedy był przydział na węgiel. Drewna nie było. Na końcu dzielnicy Orunia, w Lipcach, znajdowały się zabudowania po niemieckim obozie koncentracyjnym. Jeszcze niedawno był tu niemiecki lagier, filia obozu w Stutthofie. Stały drewniane baraki i jeszcze było ogrodzenie z drutów i słupów betonowych pod napięciem. Cała nasza dzielnica Orunia rozbierała te poniemieckie lagry, bo teren był otwarty. Nasz sąsiad miał wózek, taką platformę z dwoma kołami na łożyska. Pożyczaliśmy ten wózek za opłatą i z moim starszym bratem jeździliśmy po drewno. Od naszego domu do Lipiec, do tego obozu, było ze dwa kilometry. Mieliliśmy komórkę przydzieloną przez administrację. W tej komórce rąbaliśmy drewno na mniejsze kawałki. Mama paliła nim w kuchni, żeby coś ugotować. Piec był w jednym pokoju, w drugim nie było ogrzewania. Gdy mama robiła pranie, to wodę w ocynkowanym baniaku trzeba było cały czas gotować. Pranie suszyliśmy na podwórzu na rozciągniętych sznurach od budynku mieszkalnego do komórek. Na podwórku stał szereg komórek, bo każde mieszkanie musiało mieć komórkę na drewno i węgiel. I były cztery drewniane ubikacje na cały blok. W takich warunkach mieszkaliśmy w tamtym czasie.

Data utworzenia	26 marca 2025
Rozmawiał/a	Beata Hebzda-Sołogub
Redakcja	Jadwiga Horanin
Prawa	Forum Dialogu Między Kulturami